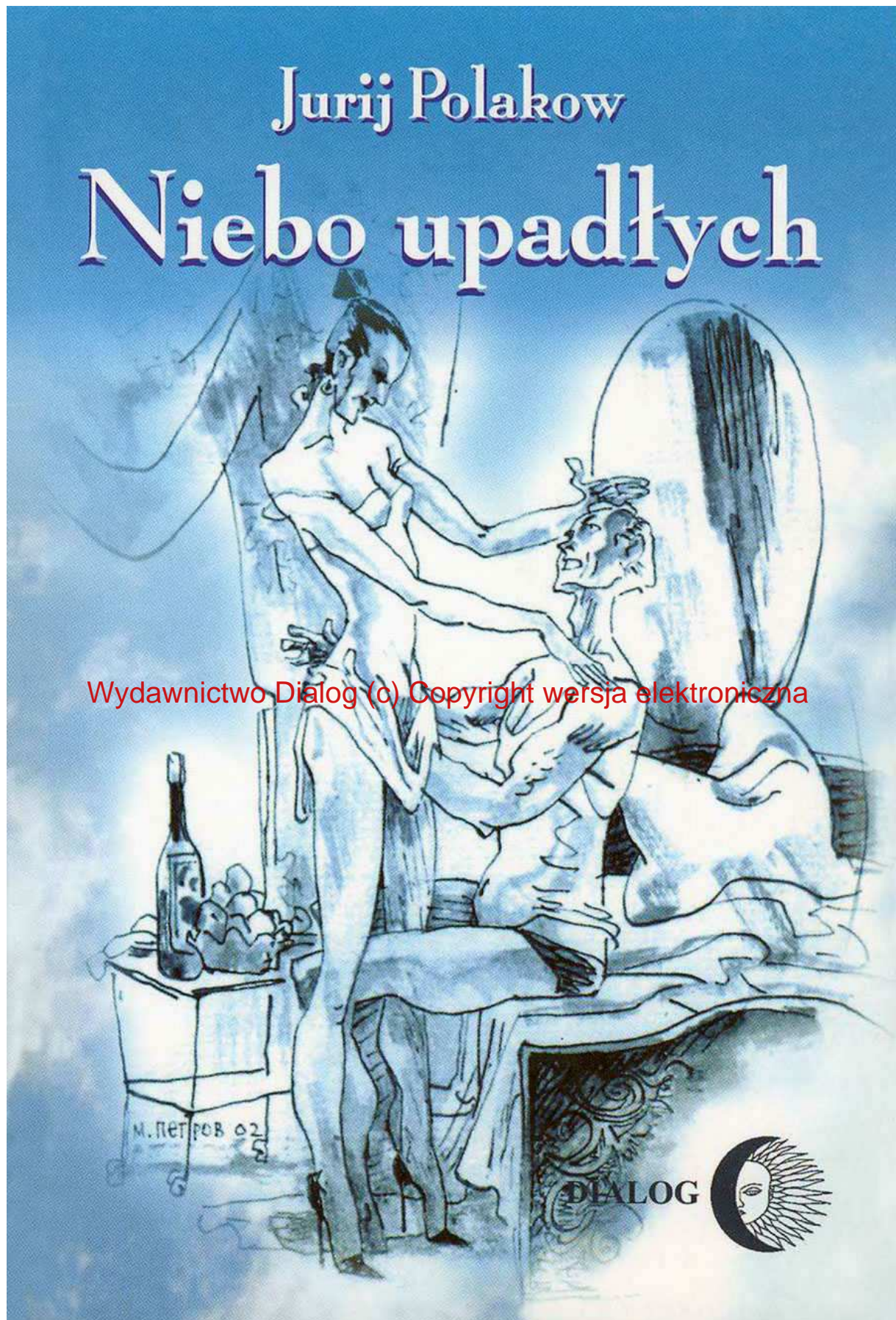


Jurij Polakow

Niebo upadłych

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna



Jurij Polakow

Niebo upadłych

Przekład

Michaela Miszewa

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Tytuł oryginału
Niebo padszych

© Jurij Polakow
© Copyright for the Polish translation
by Wydawnictwo Akademickie DIALOG

Redakcja, stylizacja i korekta
Dorota Kopcińska

Rysunek na okładce
M. F. Pietrow

Skład komputerowy
Marcin Hołdak

ISBN (ePub) 978-83-8002-444-1
ISBN (Mobi) 978-83-8002-445-8

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna
Wydanie elektroniczne, Warszawa 2016

Wydawnictwo Akademickie DIALOG
00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218
tel./faks: 22 620 87 03
e-mail: redakcja@wydawnictwodialog.pl
<http://www.wydawnictwodialog.pl>

Spis treści

1. Dworzec Moskiewski
 2. Gawrosz kapitalizmu
 3. Przegląd
 4. Historia rodzinna
 5. Dziewczyna moich marzeń
 6. Zderzenie
 7. Straszna zemsta
 8. Le Bourget
 9. Ukochany Pomocnik Prezydenta
 10. Zdrada stanu
 11. Kara
 12. ~~O wesolym~~ Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna
 13. Bołogoje
 14. Do Miami! Do Miami!
 15. Zepsuty odpoczynek
 16. Rocznicą
 17. Bryłka lodu
 18. Kukurydza
 19. Wybór śmierci
 20. Upadek
 21. Dworzec Leningradzki
 22. Zamiast epilogu
- Przypisy

Wszystkie rozdziały dostępne w pełnej wersji książki.

Muszę uprzedzić czytelnika, że spisałem tę historię prawie natychmiast; tym samym może być pewien ścisłości opowiadania. Oddaje ona nawet refleksje i uczucia, jakim młody awanturnik dawał folgę, czyniąc to z nieporównanym wdziękiem,
Antoine François Prévost d'Exiles
Historia Manon Lescaut i kawalera des Grieux
(tłum. Tadeusz Boy-Żeleński)

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

1

Dworzec Moskiewski

Strach przed spóźnieniem się na pociąg to pewna oznaka tego, że młodość minęła. Były czasy, kiedy, zarzuciwszy na plecy wielką walizkę, biegłem na złamanie karku za tylnymi światłami ostatniego wagonu. I udawało mi się! Doganiałem go dosłownie na chwilę, zanim urywał się peron i stalowe szyny, niby żmije, rozpełzały się na różne strony. Zawsze się spóźniałem, lecz nigdy nie spóźniłem się naprawdę. W pewnym sensie to mi się nawet podobało – rzucając wyzwanie beztroskiemu spokojnemu życiu – stwarzać sobie samemu kłopoty i z powodzeniem je pokonywać. Młodość traci tyle energii na borykanie się z wydumanymi trudnościami, że w wieku dojrzałym brakuje już sił do pokonywania prawdziwych problemów. Możliwe, że to właśnie jest główny dramat ludzkiego życia...

Pewnego razu, nagle, odechciało mi się spóźniać. Obrzydło mi obserwowanie z zamierającym sercem biegu sekundnika i zgrzytanie zębami, kiedy flegmatyczny taksówkarz zgodnie z przepisami hamuje na czerwonym świetle. Zacząłem przyszybiać i w momencie odjazdu pociągu siedziałem już w ciepłych kapciach na swoim miejscu, cierpliwie czekając na pierwsze zgrzytliwe szarpnięcie, od którego zaczyna się podróż do celu.

Tamtego wieczora wyjeżdżałem z Pitra¹ „Czerwoną Strzałą” po upokarzających negocjacjach z SPb-filmem. Mój scenariusz o samotnej matce, która – aby wyżywić dzieci – została killerką, został definitywnie i nieodwołalnie odrzucony. Oświadczono mi, że w scenariuszu jest dużo więcej smarków niż krwi, więc film nie odniesie sukcesu kasowego. Protestowałem, dowodziłem, że właśnie obfitość smarków, a nie krwi, zapewnia pełną kasę. Prosiłem o zwrócenie szczególnej uwagi na scenę kulminacyjną, kiedy samotna matka między dwoma zleconymi jej zabójstwami przybiega do domu nakarmić piersią niemowlę. Według mnie, scena ta była arcydziełem godnym Luca Bessona. Jednak producent, młody krótko ostrzyżony bęcwał, tak nie uważał. Przeszedł niedawno z wódczanego interesu do kina i był nieubłagany. Nawet miał zamiar wyegzekwować ode mnie wypłaconą rok temu i dawno przejeżdżoną zaliczkę, jeżeli w ciągu

dwóch miesięcy nie napiszę dla studia scenariusza śmiałej komedii erotycznej. Sądząc z pogłosek, producent żył ze sławna striptizerka z Pitra, która wyobrażała sobie, że jest także aktorką. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko się zgodzić. Tak się ucieszył, jakbym mu właśnie sprzedał swoją nieśmiertelną duszę. Nawet darował mi przejeżdżoną zaliczkę i polecił wysłać mnie do domu wagonem sypialnym na koszt studia.

Na Dworzec Moskiewski przyjechałem na pół godziny przed odjazdem pociągu i łąziłem po peronie, czekając na podstawienie składu. Rozmyślałem, skąd wziąć pieniądze na remont starej szóstki², którą rozbiła moja żona, jadąc na hurtowy bazar po zakupy. Trzeba było także zapłacić za kurs wizażystek, na który zapisała się moja córka. Chłodny marcowy wiatr przewiewał mój fiński płaszcz, kupiony dziesięć lat temu na zamkniętej wyprzedaży zorganizowanej specjalnie dla delegatów na zjazd pisarzy sowieckich. A przecież, dzieląc w myślach pieniądze za scenariusz o karmiącej killerce, szykowałem się, żeby kupić sobie długie skórzane palto z futrzaną podpinką. Kupiłem...

Podstawiono pociąg. Konduktorka popatrzyła na mój bilet i – burknąwszy: „Przedział pierwszy, miejsce drugie” – schowała go do specjalnego rozkładanego mapnika z kieszonkami.

Wszedłem pierwszy do ciepłego wagonu. Wąskie przejście było wyłożone wykładziną dywanową, a ze ściany zwisały wiecznie zielone, plastikowe rośliny. Kanapy w dwuosobowym przedziale były pieczołowicie zasłane wykrochmaloną pościelą, która wydzieliała ostry zapach sztucznej świeżości. W węzłowiach – jak napoleońskie trójgraniaste kapelusze – stały poduszki. Przebrałem się w dres ze znakiem Spartak na piersiach, założyłem futrzane kaptcie, a rozklepane trzewiki razem z torbą, podróżną z popękanej dermy upchnąłem jak najdalej pod siedzeniem. Zapatrzyłem się w okno i dla rozrywki próbowałem odgadnąć, kto będzie moim sąsiadem w przedziale.

Najpierw wróżyłem sobie duchownego ze wspaniałą bujną, brodą, w sutannie i charakterystycznej czapeczce. Minął mnie prawie defiladowym krokiem. Potem zamarzył mi się generał z ogromnym brzuchem. Liczna świta złożona wyłącznie z pułkowników była dla niego do tego stopnia opiekuńcza, czuła i zapobiegliwa, jakby wiodła wodza do porodu. Ale – do innego wagonu... Przez chwilę spodziewałem się, że spędzę tę noc w podróży razem z młodą

długonogą dziewczyną. Chwiejąc się po pijanemu, długo grzebała w torebce. Pomyślałem, że początek komedii erotycznej może być taki: do skromnego ojca rodziny przychodzi rudowłosa ślicznotka... Wreszcie znalazła bilet, ze zdumieniem i niedowierzaniem pokiwała głową i powlekła się dalej wzdłuż składu. Minutę przed dwunastą zagrzmiał hymn – pociąg szarpnął i ruszył. Kiedy już myślałem, że zostanę sam, drzwi przedziału gwałtownie się rozsunęły: na progu stanął łysiejący mężczyzna o posturze boksera. Mimo dojrzałego wieku ubrany był całkiem młodzieżowo: niebieskie džinsy, wiśniowy podkoszulek, czarna skórzana kurtka i sportowe obuwie. Uważnie rozejrzał się po przedziale, otaksował mnie wzrokiem i spytał:

– To jest pańskie miejsce?

– Wyłącznie! – odpowiedziałem z godnością.

Bokser ledwo wrzucił na półkę ogromną walizkę z kółkami, postawił torbę podróżną z naturalnej rdzawej skóry na wolnej kanapie, potem cofnął się do korytarza i zawołał:

– Pal Nikolajicz! Tutaj...

W drzwiach pojawił się młody człowiek w rozpiętym czarnym kaszmirowym płaszczu.

„Paweł Nikolajewicz!” – pomyślałem gniewnie – „Kiedy byłem w jego wieku, nikomu nie przychodziło do głowy zwracać się do mnie tak oficjalnie... Czasem mi się wydaje, że mieszkamy w kraju, gdzie władzę przechwyciły złe dzieci-mutanty, które nazwały się dorosłymi, a nas – dorosłych – mianowały dziećmi. Dlatego właśnie wszystko się rozsypuje, jak zamki z piasku... „

– Witam! – wesoło i dźwięcznie powiedział mutant. – Będzie pan musiał przejść do innego przedziału!

Szczerze mówiąc, jestem człowiekiem wyjątkowo bezkonfliktowym, zdolnym do kompromisów, lecz jednej rzeczy nie znoszę – kiedy mi rozkazują. Moja żona już dawno to zrozumiała i nigdy się jej nie zdarza mówić: „Idź do sklepu!” Nie, nawet jeśli leżę na kanapie, mówi: „Skarbie, czy mogłabym cię poprosić... Oczywiście. jeżeli nie jesteś zajęty...” W następnej chwili, odłożywszy wszystkie sprawy, już biegnę do piekarni z torbą w rękę.

– Tolik, pomóż, proszę, temu panu przenieść rzeczy! – rozkazał bokserowi Paweł Nikolajewicz, nie doczekawszy się mojej odpowiedzi. Dopiero wtedy do mnie dotarło, że Tolik jest ochroniarzem. Zrobiło mi się nieswojo. Oczywiście,

rozumem pojmowałem, że powinienem zażartować i przejść do innego przedziału – przecież taka wymiana miejsc w pociągach jest rzeczą powszechną. Natomiast w sercu wzbierały złość i bezrozumny upór. Gdyby on nie wypowiedział tego wstrętnego zdania: „Będzie pan musiał”, byłbym – ma się rozumieć – w stanie się zgodzić – i historia, którą teraz Państwo czytają, nigdy by nie została napisana.

– Wydaje się, że towarzysz nie słyszy! – oznajmił Tolik.

Milczałem, utkwivszy wzrok w podłogę. Wąskie czarne buty mojego nieoczekiwanego dręczyciela, były tak czyste, jakby noszone przez anioła, który nigdy nie stąpił po grzesznej ziemi. Zresztą chłopiec-producent, który odrzucił mój scenariusz, miał podobne tak samo drogie, wąskie buty bez żadnych plam.

– Gdzie są pańskie rzeczy? Pan pozwoli, że pomogę – zaproponował ochroniarz.

– Jestem na swoim miejscu! Nigdzie nie pójdę! – odpowiedziałem trochę histerycznie, lecz wystarczająco twardo.

– Nie rozumiem – zdziwił się Paweł Nikołajewicz.

– A co w tym niezrozumiałego! – krzyknąłem i popatrzyłem obrażającemu mnie prosto w oczy.

Był podobny – jeżeli nie do anioła – to do studenta-prymusa z filmów z lat siedemdziesiątych: rumiana okrągła twarz, zadarty nos i ogromne okulary. Tylko z zaczesanych do tyłu falistych ciemnoblonde włosów prześwitywała siwizna, całkiem niestosowna w jego młodzieńczym wieku.

– Powtarzam jeszcze raz: będzie pan musiał przejść do innego przedziału! Tolik, pomóż panu!

Zwróciłem uwagę, że kiedy Paweł Nikołajewicz jest zły, jego i tak wąskie wargi kurczą się i przypominają surową bezkrwistą nitkę.

– Niby dlaczego? Nie życzy pan sobie ze mną jechać? Pan się mnie boi? – spytałem ironicznie i wkrótce pożałowałem, że to zrobiłem.

Oczy studenta-prymusa stały się ołowiane, a wzrok obojętnie bezlitosny.

– Nikogo się nie boję, Tolik, bądź tak dobry, idź po konduktorke.

Ochroniarz wyszedł, a Paweł Nikołajewicz najpierw zdjął płaszcz i rzucił go na kanapę, potem zdjął drogą marynarkę z metalowymi guzikami, rozwiązał wyszukany krawat i pozostał w cienkich czarnych spodniach i śnieżnobiałej koszuli, pod którą już zarysowywał się brzuszek.

„On pewnie nie pierze koszuli, po prostu wieczorem ją wyrzuca, a rano zakłada nową. Jak kobieta jednorazowe majtki” – pomyślałem z żalem.

– Niepotrzebnie się pan uparł – powiedział z wyrzutem Paweł Nikołajewicz. Zdjął okulary, teraz jego twarz stała się jeszcze bardziej dziecinna.

– I tak będzie pan musiał przejść do innego przedziału... Ja nie jeżdżę z obcymi ludźmi.

– Więc powinien pan kupić sobie samolot i latać ze znajomymi!

– Samolot mam. Niestety dzisiaj jestem zmuszony jechać pociągiem – wyjaśnił mi z powagą.

Pojawiła się konduktorka. Widać było, że za pomoc jej zapłacono lub przynajmniej obiecano niemałą sumę.

– Obywatelu, proszę przejść do innego przedziału! – zażądała.

– A niby dlaczego?

– Dlatego, że młody człowiek chciałby jechać ze swoim przyjacielem!

– Nie przejdę!

– Czy pan chce, żeby go przeniesiono? – zdziwił się zrezygnowany Paweł Nikołajewicz.

– Będziecie mieć, panowie, duże problemy, jeśli tylko mnie tkniecie! – uprzedziłem.

– On jest pijany! – krzyknęła konduktorka, wskazując na mnie palcem.

– Proszę przedstawić dokument! Zaraz zawołam patrol!

– Policję! Bardzo dobrze! – Wciągnąłem legitymację z napisem „Press” i pomachałem nią w powietrzu.

Była to legitymacja pewnej bardzo popularnej, skandalizującej gazety młodzieżowej, dla której prowadziłem rubrykę „Archiwalna mysz.” Tak naprawdę to legitymacja – jako współpracownikowi – mi się nie należała. Miałem tam tylko umowę-zlecenie, lecz redaktor był moim starym znajomym i wystawił mi legitymację, abym mógł korzystać z taniej redakcyjnej stołówki.

Konduktorka zawahała się: pieniądze pieniędzmi, lecz z prasą należy uważać. Dziennikarz to rodzaj nasmarowanego klejem stracha na wróble – gdy raz się przylepisz, już się nie odkleisz... Obiecała, że porozmawia z pasażerami w sąsiednim przedziale, i wyszła.

– Nie lubię pismaków! – wesoło zakomunikował Paweł Nikołajewicz. – Wszyscy jesteście do kupienia!

– Robił to pan?

– Nie raz.

– No widzi pan, ale mnie pan jeszcze nie kupił! Zresztą nie jestem dziennikarzem, tylko pisarzem...

– Pisarz? Jeszcze taniej. Pańskie nazwisko...

– Skabiczewski...

– Dziwne. Wydawało mi się, że Panajew...

Przez chwilę siedzieliśmy, milcząc, naprzeciw siebie. W tym czasie ochroniarz starannie powiesił ubrania swojego szefa na wieszaku i stanął w drzwiach, czekając z kamienną twarzą na dalsze rozkazy.

– Dobrze – nagle przerwał milczenie Paweł Nikołajewicz. – Dam panu pięćset zielonych, a pan przejdzie do innego przedziału. Dobrze?

Skinął ręką, a Tolik otworzył drogą torbę, wyjął stamtąd czarną saszetkę i podał swojemu panu.

„Niezła kabza!” – pomyślałem.

Mój towarzysz podróży niedbałym gestem wy dostał z saszetki gruby, ściągnięty gumką zielony zwitek i odliczył pięć studolarowych papierków.

– Nie – odpowiedziałem, odwracając wzrok od pieniędzy.

Paweł Nikołajewicz, milcząc, dołożył drugie tyle.

– Niech pan bierze! Przecież pan chce? Śmiało... niech pan bierze! Pierwszy raz jest zawsze trudny – uśmiechnął się i w jego policzkach pojawiły się wzruszające dołki.

Rzeczywiście chciałem, Nawet bardzo. Oferowana kwota dokładnie pokrywała się z sumą, jaką zaśpiewano mi w warsztacie za kapitalny remont szóstki.

– Proszę to zabrać! – zażądał.

– No dobrze, daję panu wszystko! – rzucił zwitek na stolik i z chłopięcą zadziornością mrugnął do ochroniarza.

– Dlaczego udaje pan głupiego? Pan przecież mi nie da tych pieniędzy!

– Dam!

– Nie da mi pan!

– Oczywiście, że nie dam. – Włożył okulary i znowu stał się dorosły. Dołki w policzkach znikły tak, jakby ich nigdy nie było.

– Więc dlaczego się pan tak pastwi?

– Chciałem pana skusić. Spodobał mi się pan. Proponuję się napić! Tolik, bądź uprzejmy nakryć stół. My tu razem z panem pisarzem porozmawiamy o życiu...

Ochroniarz wyjął z torby dwie butelki czerwonego wina.

– Burgundzkie. Clos de Corton grand cru, Faiveley 88 rocznik! – zakomunikował Paweł Nikołajewicz – Bardzo przyjemne wino. Tak naprawdę to wolę bordo, na przykład Château Talbot z 89., ale ono jest bardzo kapryśne – trzeba czekać prawie godzinę, póki zelżeje cierpkość. Burgundzkie jest lepsze na drogę. Jak pan sądzi?

– A ile ono kosztuje? – spytałem ostrożnie.

– Co pan! To kobietę najpierw się pyta: „Ile kosztuje?“, a potem próbuje. Z winem jest na odwrót, najpierw należy spróbować, a dopiero potem zadaje się pytanie: „Ile kosztuje?”

Tolik tymczasem wyjął zakąskę: kanapki z kawiozem i rybą, poukładane w plastikowym pudełku. W drugim takim samym pudełku były truskawki. Następnie wziął ze stolika szklanki, popatrzył na nie pod światło, zmarszczył brwi i wyszedł.

– Niestety, nie ma burgundzkich kieliszków. Trzeba będzie pić ze zwykłych. Przepraszam! – powiedział mój towarzysz podróży, udając smutnego.

– Jakoś to przeżyję,

Wrócił Tolik z innymi – czystymi – szklankami. Towarzyszyła mu ucieszona konduktorka:

– Rozmawiałam z pasażerami w trzecim przedziale. Może się pan tam przenieść!

– Dziękuję, gołąbko, za starania – skinął głową Paweł Nikołajewicz – lecz my już się zaprzyjaźniliśmy... Tolik, podziękuj dziewczynie za troskę!

Ochroniarz zniknął z konduktorką, a wróciwszy, wydobyl z kieszeni scyzoryk z korkociągiem, otworzył butelkę i pewnym gestem zawodowego kelnera, nie przejmując się wstrząsami pociągu, rozlał rubinowe wino do szklanek.

– Dziękuję, idź spać! – rozkazał Paweł Nikołajewicz i, patrząc na wychodzącego ochroniarza, dodał: – Wspaniały chłop. Ochraniał Gorbaczowa. No a teraz jest ze mną. Już pięć lat. Potrafi strzelać jak Bóg! A jakie ma uderzenie! Można powiedzieć, że jest osobą historyczną...

– A nie boi się pan, że kiedyś może strzelić do pana? – spytałem jadownicę,

– Nie, nie boję się. Jeżeli nawet Gorbiego nie zastrzelił, to nie mam czego się bać. Tacy ludzie jak on strzelają do wroga albo do siebie... dziwny gatunek... Zresztą wypijmy za lud rosyjski! Wie pan, kiedy to wszystko się zaczęło, myślałem, że po roku, najwyżej po dwóch latach, wszystkich nas nabija, na widły. Nic podobnego. Nawet na odwrót – syn ludu pracującego, Tolik, mnie ochrania! Za lud!

– Ja pić za to nie będę!

– Dlaczego?

– Z zasady...

– Proszę... Niech pan da spokój, człowiek z zasadami to tylko synonim nieudacznika.

– Więc brak zasad to tylko synonim sukcesu?

– Jest pan tak wredny wobec wszystkich swoich znajomych, czy tylko wobec mnie?

– Nie, nie wobec wszystkich. A jednak, gdybym był ludem...

– Dawno zostałem nabity na widły! – zaśmiał się Paweł Nikolajewicz. – Jaki pan jest złośliwy! Może po prostu pan jest biedny? No tak, za nienawiść nie będziemy pić! Wypijmy za miłość! Czy pan uważa, że taki nikczemnik i wyzyskiwacz jak ja zdolny jest do takiego uczucia?

– Dlaczego nie... najbardziej wzruszających romantyków spotkałem za kratkami, kiedy pisałem reportaż z okazji dwustulecia więzienia Włodzimierskiego.

– Romantyzm? Romantyzm nie ma tu nic do rzeczy! Miłość wydobywa się z tego samego gówna i brudu co i pieniądze. I tak samo jak pieniądze łatwo ją stracić! Może kiedyś w przyszłości ludzie będą oszczędzać na swoich kontach nie dolary, ale miłość...

– Oho! Nigdy nie próbował pan pisać?

– Próbowałem. Nawet należałem do kółka literackiego przy Moskiewskim Instytucie Lotniczo-Technicznym. Pisałem wiersze... konceptualne. Przeczytać panu?

– Może później. Już pan przestał pisać?

– Nie, nie przestałem. Czy pan wie, że za biznes, miłość i twórczość odpowiedzialna jest ta sama część mózgu? Z tego powodu wśród dobrych poetów nie ma dobrych biznesmenów i na odwrót.

Zakochany biznesmen niedługo się utrzyma... Próbował pan kiedykolwiek zajmować się biznesem?

– Przyznam się – nigdy.

– I niech pan nie próbuje. Znałem jednego scenarzystę. Związał się z przemysłem naftowym, a ponadto zakochał się w gwiazdce filmowej... Straszna historia – znaleźli go z ceczeńskim kindżalem w sercu.

– Czytałem coś o tym w gazetach...

– W gazetach? – popatrzył się na mnie z wyrzutem. – Pan czytał, ja się ukrywałem... wypijmy jednak!

Wino, jak można było się spodziewać, było wspaniale. Parę chwil przesiedzieliśmy, milcząc. Podwinąłem róg wykrochmalonej zasłony: migające słupy odmierzały pędzącą za oknami noc.

– Wie pan... czasem mam ochotę wszystko rzucić, schować się na wsi i wieczorami, słuchając świerszczy, pisać książkę... – marzycielsko powiedział Paweł Nikołajewicz.

– O czym

– O gównie.

– Z którego wszystko się wydobywa?

– Tak. Mam dużo tematów. Czy pan nie chciałby jednego w prezencie? Rzeczywisty! Nie z gazet.

– Dziękuję, lecz mam wystarczająco dużo własnych pomysłów.

– Wy, pisarze, jesteście leniwi i nieciekawi, a potem skarżycie się na czytelników!

– Ja się nie skarżę. Czytelnik zawsze ma rację. Krytycy to inna sprawa. Biorąc pod uwagę pana przyszłą książkę, także mógłbym podać kilka wątków o krytykach...

mógłbym podać kilka wątków o krytykach...

– Dobrze już, dobrze... I tak nigdy nic nie napiszę. Dla mnie kalanie papieru swoimi bazgrołami jest tak samo niebezpieczne jak dla scenarzysty handlowanie ropą... Posłuchaj pan... Pisał pan kiedyś na zamówienie?

– Oczywiście. Napisałem pamiętniki dwóch marszałków. Za władzy sowieckiej nieźle za to płacili. Nie to co dzisiaj...

– Świetnie! – Paweł Nikołajewicz z podniecenia wzburzył swoje włosy, przesunąwszy po nich ręką, i okazało się, że jest o wiele bardziej siwy, niż mi się wydawało na początku. – Zamawiam!

– Co pan zamawia? Mnie???

– Nie można tak żartować, proszę pana. To nie jest śmieszne. Pan dokładnie rozumie, co chcę powiedzieć. No... nie wiem, co może powstać z mojego tematu – opowiadanie, poemat, może powieść... Niech pan się nic martwi o honorarium! Nie jestem chciwy.

– Niech pan trochę zwolni, może pana temat w ogóle mi się nie spodoba...

– Taki pan wybredny!

– Pan także nie z każdym, kto się pojawi, podpisuje kontrakt – zaprotestowałem.

– Leniwi, ale sprytni. Lepiej wypijmy!

– Za co?

– Teraz pana kolej na toast.

– Więc wypijmy za tę część mózgu, która nie może zajmować się biznesem i tworzeniem naraz!

– I miłością! – dodał Paweł Nikołajewicz

– A pana temat jest o miłości?

– Oczywiście! O czym innym miałyby być?!

Zaśmiał się i w jego policzkach pojawiły się dołki.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

2

Gawrosz kapitalizmu

– No nie wiem – odpowiadając, mimowolnie się uśmiechnąłem. –
Może o pierwotnym gromadzeniu kapitału?

– O tym można napisać całą książkę! Epopeja o gawroszach
rosyjskiego kapitalizmu... o tych, którzy byli nikim, a stali się
wielkimi...

Paweł Nikołajewicz położył się na kanapie, dając do zrozumienia,
że to początek bardziej szczegółowego opowiadania. Podłożyłem pod
plecy poduszkę i przygotowałem się do słuchania. Stukanie kół
pociągu przypomniło mi dźwięk maszyny do pisania zostawionej
w domu.

– Czy zdarzyło się panu spoglądać na siebie z boku, jak na aktora
podczas wykonywania kolejnej roli?

– Tak... Psycholodzy mają jakąś specjalną nazwę na ten rodzaj
doznania...

– No taaak... Wie pan, przez długi czas wydawało mi się, że gram
główną rolę w operze. Działanie Copyright wersja elektroniczna śmieją
się, pieprzą i w ogóle zajmują się wszelkimi życiowymi bzdurami.
Wydawało mi się, że zaraz się skończy kolejna scena, zgasną jupitery,
garderobiany zabierze mi drogi smoking, rekwizytor odstawi mojego
dżipa do garażu wytwórni filmowej. Ja zaś przebiorę się w swoje
wytarte dżinsy, sweterek i kurteczkę ze skrzypiącego na mrozie skaju,
wsiądę do niebieskiego trolejbusu, podniosę z zdeptanej błotem
podłogi jakiś w miarę czysty bilecik (na wszelki wypadek, żeby
zabajerować kontrolera) i pojedę do akademika szkoły lotniczej. Tam
jakaś koleżanka z wyższego roku, która zdążyła już wyjść za mąż,
urodzić dziecko, rozwieść się i wysłać to dziecko do ojczystego
Gadiukinska, naleje mi wódki, nakarmi jajecznicą z kiełbasą
pokrojoną w grube kawałki, a potem, jeżeli sąsiadki wyszły,
poskrzypimy trochę na ciasnym państwowym wyrku: ja będę
cierpliwie poszukiwać orgazmu w zakątkach swojego pijanego ciała,
a ona – namiętnie szeptać mi do ucha: „Tylko nie we mnie! nie we
mnie!”

Kobiety mojej młodości dzieliły się na poczytalne i niepoczytalne.

Wieczorem, z wepchniętymi do torby podręcznikami i konspektami, pobiegnę na Chodynkę – pilnować muzeum lotnictwa pod gołym niebem. „A co tam jest do pilnowania?” – mógłby pan pytać. Oczywiście, pierwszego ponaddziesięciokilowego myśliwca na plecach raczej się nie wyniesie, nawet nie ma czego odkręcić – wszystko, co można było, już wykręcono. Chodzi o to, by nie dopuścić, żeby kabiny helikopterów stały się wychodkami. Nabrudzić w każdej zamkniętej źle oświetlonej przestrzeni – to naturalne dążenie *homo sapiens*.

Za to dostawałem czterdzieści rubli miesięcznie. Dodatkowo w ciepłą pogodę można było wpuszczać bezdomne pary do kabiny śmigłowca towarowego, aby pofiglowały sobie na brezencie rozestłanym na moskiewskim sianie pachnącym benzyną. Miałem także stypendium. Byłem celującym studentem. Prawie celującym. Jeżeli pozbierać to wszystko do kupy, powodziło mi się nieźle. Bez dodatkowych zarobków studentowi z prowincji nie uda się przeżyć w Moskwie.

Właściwie to od tego dużego towarowego śmigłowca przekształconego w szalę miłości zaczął się mój biznes. Ponieważ większość krajowych samców, jak i pierwsze limuzyny, może działać tylko na spirytusie, razem ze współnikiem zaczęliśmy zaopatrywać się w wódkę i sprzedawać ją z nocnym dodatkiem gościom Interes kwitł – urządziliśmy jeszcze kilka helikopterów i Ił-14, a wódkę kupowaliśmy skrzynkami za podrabiane kupony. Od różnych kłopotów chronili nas policjanci z sąsiedniego osiedla – oczywiście nie za darmo. Dyrektor muzeum, emerytowany dowódca eskadry, pobierał od nas podatek naturalny w postaci dziewczyn. W zamian zachowywał milczenie... Wspaniałe, romantyczne czasy, kiedy bogacenie się było tak szybkie i łatwe jak złapanie syfa. A propos... świetnym przykładem był dyrektor. Nie, on się nie wzbogacił. To ja się wzbogaciłem!

Niech się pan nie śmieje! Znałem ludzi, którzy stawali się milionerami w ciągu kilku miesięcy, a pod koniec roku wiedli z czerwiami pogawędkę o wieczności. Najważniejszą rzeczą jest umieć wyrwać swój kawałek tortu od roztargnionego, wiecznie pijanego Wujka Wani... Jeżeli Ameryka to Wujek Sam, to Rosja – Wujek Wania... Umieć kraść to tylko początek – trzeba też umieć się dzielić. Sztuka dzielenia się polega na tym, aby największy kawałek

zawsze trafiał się tobie. Mój wspólnik nie umiał się dzielić – i już dawno nie żyje.

– Zlecenie?

– Drogi panie! Dlaczego przyzwoici ludzie z wielkim upodobaniem beztrąsko rzucają na wiatr takie słowa, jak: zlecili, wzięli na muszkę, kropnęli, sprzątnęli, wyrwali chwasta. Wygląda to na jakąś epidemię!... Nie wiem... Może ktoś zlecił. Wyszedł z domu i nie wrócił. Nie... nie mam nic wspólnego z tą sprawą... w zasadzie jestem przeciwko przemocy! Nie wierzy mi pan? Swoją drogą – dobrze pan robi... Biznes to paskudna, brudna robota. Jednak to nie takie proste. Kiedy wszystko się zaczęło, swój kasek chapnęli przede wszystkim najsilniejsi, doświadczeni i my – jeszcze niedojrzali... Ludzie pana pokroju są przyzwyczajeni do liczenia się z każdym swoim krokiem, dlatego się spóźnili. Niech pan sobie wyobrazi ogromny magazyn pękający od dóbr, pod który podłożono bombę. Pierwsi, jeszcze przed wybuchem, przyjeżdżają i napychają swoje kieszenie ci, którzy tę bombę podłożyli. Po chwili traaach! – dobra tarzają się po ziemi. Pan będzie się kręcił, będzie się pan bał policji, KGB, opinii publicznej, sadu historii, itede. A chłopaczki przyjadą na deskorolkach i wszystko rozbiorą. No, co się pan na mnie tak gapi? Przecież pan nie tęskni za socjalizmem, ale jest pan zły, że właśnie panu nic nie przypadło. Niestety to Historia tak postanowiła, a na Historię gniewać się nie można, chyba że w zakładzie psychiatrycznym pod opieką lekarzy...

– To właśnie Historia zmusiła pana do urzędzenia burdelu w śmigłowcu? – zainteresowałem się, patrząc Pawłowi Nikołajewiczowi w oczy.

– Tak, ona... Suka! Za socjalizmu przeprowadzono eksperyment na skalę państwową – polegał on na próbie udomowienia seksu, a ten, paskudny, i tak oglądał się na siano. Na tym zbiłem swoją pierwszą forszę. Jednak burdelowy biznes nigdy mnie nie pociągał. Na początku za relatywnie nieduże łapówki i na mniej więcej zgodnych z prawem zasadach wydzierzawiłem sąsiadującą z muzeum lotnictwa wieżę do skoków spadochronowych. Oszalały naród, który w jednej chwili stracił wszystko, co zdobywał mozolną pracą, rzucał się z balkonów. A tu... wieża! Nikomu nawet nie przyszło do głowy, że w Moskwie znajdzie się tłum ludzi z kasą, który po tym, jak obzał się w knajpie, naparzył w saunie, z nudów zechce skoczyć z wieży lub tylko puścić

pawia. To ja wpadłem na ten pomysł i założyłem spółkę Ziemia i Niebo. Gdybym ja na to nie wpadł, wpadłby ktoś inny.

Gdybym ja nie pozbiarał – zrobiłby to ktoś inny. Biznes, tak samo jak prawdziwa miłość, pochłania w całości. Na czwartym roku studiów opuściłem szkołę lotniczą. Tym faktem szczególnie ucieszył się wykładowca komunizmu naukowego Pleszanów, roku studiów opuściłem szkołę lotniczą. Tym faktem szczególnie ucieszył się wykładowca komunizmu naukowego Pleszanów, z którym zawsze spierałem się na wykładach, a nawet raz powiedziałem mu, że marksizm jest próbą uświadomienia sobie sensu życia nie za pomocą zwojów mózgowych, lecz odbytnicy! Prawie mnie wyrzucili z Komsomołu⁴. To była wielka organizacja! Wystarczy pogrzebać trochę i prawie każdy współczesny rosyjski miliarder okaże się albo komsomolskim aktywistą, albo funkcjonariuszem. Moja wieża spadochronowa była filią działu sportowego regionalnego komitetu komsomołu, a pierwszym urzędnikiem, który dostał ode mnie kopertę z łapówką, był sekretarz komitetu rejonowego Siergiej Taratuta. Drugą łapówkę, tym razem nie w kopercie, lecz w neseserze, dostał jego tatuś – naczelnik wydziału państwowego lotnictwa.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna
Tak pojawił się Aerofund. Postanowiłem jednak skończyć szkołę. Wie pan, jest to taka pozostałość po sowieckim wychowaniu: bez dyplomu czujesz się jak porządna kobieta, która poszła do teatru bez majtek pod spódnicą. Najpierw próbowałem uczyć się uczciwie: każdemu egzaminatorowi wręczałem kopertę z zielonymi, natomiast on mnie – indeks z piątka. Potem szliśmy razem pod rękę przez szkolne podwórze. Kochany profesor szedł do autobusu, a przede mną szofer usłużnie otwierał drzwi dżipa. Szkoda, że wtedy już nie zastałem Pleszanowa w szkole. Opublikował głośny artykuł Skrzydła Gułagu i stał się ważną osobistością wśród demokratów,

Zabawa we wzorowego studenta eksternistycznego szybko mi się znudziła, ponadto nie miałem czasu. Skończyło się na tym, że ufundowałem nowe wyposażenie szkolnego laboratorium i rozdałem wszystkim wykładowcom premie noworoczne. Zostało mi tylko sponsorowanie remontu prywatnej willi prorektora i... dyplom w garści. Oczywiście o wiele taniej byłoby kupić sobie falsyfikat, lecz wtedy jeszcze wierzyłem, że kiedyś będę prezydentem tego państwa. Wszyscy w to wierzyli... wtedy nam powiedziano: „Chłopaki, można zrobić wszystko!” – kłamano, jak zawsze. Wydawało się, że

najważniejsze w życiu to coraz więcej i wyżej! A okazało się, że najważniejsze to kolejny raz wybronić się od prokuratury i bandytów. Wybronić się i ocaleć.

Dziwne czasy! Wie pan, dlaczego pojechałem do Pitra? Zeznawałem. Byłem świadkiem. Na razie – świadkiem. To jedna strona. Z drugiej strony jestem członkiem-korespondentem Międzynarodowej Akademii Lotniczej, chociaż szkoły i tak nie zdołałem ukończyć. Z powodu Wielkiego Najścia nie było mi po drodze do dyplomów – ledwie przeżyłem. Od tamtego czasu nie mogę się pozbierać... I wreszcie, człowiek nie ma napisane na czole, że nie ukończył studiów wyższych, a bankomat przyjmuje karty kredytowe, nie dyplomy... Dlaczego pan się śmieje? Mój Aerofund jest jedną z najbardziej znanych prowizerek zbudowanych na ruinach sowieckiego lotnictwa. Utrzymuje stosunki handlowe z piętnastoma krajami... Niech pan weźmie informator „Kto jest kim w światowym lotnictwie”, otworzy na literę S i znajdzie nazwisko Szarmanow – wtedy się panu wszystko wyjaśni...

– Wydaje mi się, że pan miał mówić o miłości – przerwałem z wyrzutem.

– A o czym panu opowiadam? – Paweł Nikołajewicz poczuł się tak urażony, że aż zerwał się z kanapy. – Po prostu inaczej nie zrozumie pan, skąd się na moją głowę zwała Katierina...

Wydawnictwo Akademickie DIALOG

specjalizuje się w publikacji książek dotyczących języków, zwyczajów, wierzeń, kultur, religii, dziejów i współczesności świata Orientu.

Naszymi autorami są znani orientaliści polscy i zagraniczni, wybitni znawcy tematyki Wschodu.

Wydajemy także przekłady bogatej i niezwykłej literatury pięknej krajów Orientu.

Redakcja: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/219

tel. (0 22) 620 32 11, (0 22) 654 01 49

e-mail: redakcja@wydawnictwodialog.pl

Biuro handlowe: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks (0 22) 620 87 03

e-mail: biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl

www.wydawnictwodialog.pl

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna